

I. WSTĘP

Kłosowskiemu go nazywali. Piotr było mu na imię. Po francusku – Pierre. Używając języka amerykańskiej krytyki: autor pięciu niezrozumiałych filmów. Wymyślił kilkanaście suwerennych wersji własnego życiorysu.

Urodził się 5 maja 1929 roku (znajdą się biografowie, którzy uwierzą w trzy zupełnie inne daty: 10 października 1927, 7 lipca 1928, 9 września 1930) w PodgłóWKu, piętnaście kilometrów od wschodnich rogatek Lublina. Jego matka zmarła podczas porodu. Ojca nikt nie poznał. Do piątego roku życia Piotra wychowywali dziadkowie, a potem go adoptowano. Rodzicami zostali nauczycielka z lubelskiego gimnazjum oraz oficer marynarki wojennej.

Przybrany ojciec ginie w trakcie kampanii wrześniowej w 1939 roku. Od 1945 roku Piotr z matką mieszka w Krakowie. Tutaj skończy szkołę średnią i studia historyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wyjeżdża do Łodzi w 1954 roku. Absolwent Wyższej Szkoły Filmowej. Już w 1958 roku mieszka w stolicy. Rok później odnajdziemy go we Francji, a po sześciu miesiącach na

dobrze zadomowi się w Londynie (1959), potem będą Australia (1973–1981) i na końcu USA (1981–2003). Umiera w prywatnej klinice onkologicznej w Los Angeles 23 marca 2003 roku.

Leon był najstarszym znajomym Kłosowskiego. Spotkałem go w 1995 roku. Leon Terasimiuk (1909–1999), jak sam prosto mówił, „sąsadował i kolegował się” z dziadkiem małego Piotra jeszcze w PodgłóWKu.

Mam zamiar podzielić się z Wami kilkoma osobistymi spostrzeżeniami. Otóż ten niewiarygodny fałszywy opowieści, zwierzeń, wywiadów ze świadkami, ten cały kurhan wspomnień dalekich i bliskich znajomych Kłosowskiego, jaki wokół niego usypano, budzą mój wewnętrzny sprzeciw. Wywlekano na światło dzienne bąblaste głupoty. Koloryzowano fakty. A przecież rzeczywistość i tak po swojemu wyslizgiwała się ze zmęczonych rąk biografów.

Miał przyjaciół i wrogów. Wiązał się z kobietami, ale nie spłodził potomka. Mylił się stukrotnie, grzeszył pychą, miewał złudzenia, krajobraz wokół niego ulegał gwałtownym przemianom geograficznym, a za nim, za jego plecami, można było usłyszeć tykanie wskazówek milionów zegarów bezwzględnie odliczających uciekający mu czas. Tak, przyznaję – mam zamiar na użytek nieobojętnej mi widowni odtworzyć przekonującą historię życia mojego bohatera. Nie jestem maksymalistą. Będę kodyfikatorem. Uporządkuję i posprzątam fakty,

oczyszczę je z osadu bredni. Odpowiednio poszatkuję sałatkę wspomnień o Piotrze. Potem ułożę czytelną chronologię wydarzeń. Rozłożę przed Wami dobrze potasowaną kabałę z figur, kolorów i liczb. Tak żeby mocno przylegała do prawdy. Zapomnijmy o Terasimiuku. Zaufajmy własnej intuicji badawczej.

Powstały trzy polskie biografie Kłosowskiego. Każda z nich udaje rzetelność, dokładność i obiektywizm. Pierwsza, monumentalna, sześćsetstronicowa *Panorama pana Piotra Andrzeja Wężykowskiego* (Aronia, Kraków 1993), jest dla mnie kompletnym nieporozumieniem. Po prostu – nie ma o czym mówić. Druga była wydawnictwem albumowym, pamiątką składającą się ze stworzonych przez reżysera filmowych kadrów, przemieszanych ze zdjęciami prywatnymi artysty. Nosiła tytuł *Twoje obrazy*, a napisała ją Natalia Ból (Moduły, Warszawa 1994). Lubię ten stuośmiostronicowy, bezpretensjonalny drobiazg i tak naprawdę, między nami, nic ponadto. Jest jeszcze panegiryk z 1995 roku pióra peerelowskiego cenzora Janusza Krawędzikowskiego (pseudonim), *Wycięte powieki*. Dziś już wiem, kto to napisał. Nie ma go już wśród nas, bo zmarł w 1999 roku. Podobno zastrzelił go jakiś niespełniony pisarz. Redaktor nie chciał mu opublikować pewnego nadętego poematu politycznego. Chodziło o konkretnego dziennikarza, byłego członka KC PZPR. Fakty są następujące: mordercy nigdy nie złapano, bo sam się ujął (samobójstwo). Pora na inny obraz.

Gąszcz faktów starannie przetrzebiłem. Wyciąłem w pień zbędne, lokalne przygody Kłosowskiego. Niestety, ale jestem zmuszony jeszcze przez chwilę ciągnąć tę lekko już zmęczoną metaforę. Ziemię spulchniłem i się uleżała. Zasiałem, podlałem, poczekałem. Rozrósł się z czasem mój ogród pamięci. Sam poprzycinałem gałęzie drzewek owocowych. Zatroszczyłem się o trawnik. Wyznaczyłem sobie ścieżki, ustawiłem białe kosze na śmieci, zbudowałem brązowe ławki w cieniu rozłożystych klonów i lip. Mam tu plac zabaw dla dzieci, fontannę, oczko wodne, zaciszny zaułek dla kochanków, kapliczkę, pomnik oraz popiersie protagonisty. Dookoła stoi trzymetrowy stalowy płot, a regulamin wisi na szarozielonej tablicy, obok której umieściłem mapę całego parku.

Łaskawy Czytelniku! Oto leży przed Tobą jedyna pocziwa biografia Piotra Kłosowskiego.

Dom wariatów, w którym od razu powinien szczeznąć ojciec Piotra, miał być podziemną, ślepą, wilgotną celą z jednoosobową pryczą. Trafiłby tam zaraz po ukończeniu osiemnastu lat. I nigdy nie ujrzałby grudniowego szronu na szybie. Gwiazd wbitych niczym srebrne gwoździe w osmalony sadzą sufit nocy świętojańskiej. Nie poczułby gorzkiego zapachu marcowej ziemi o świcie. (Nagle przyplątał mi się nie wiadomo skąd tkliwy, sentymentalny ton).

Wołano na niego Xylo. Analfabeta i parobek. Półtora metra wzrostu. Sąsiad Lewskich z Podgłówek. Od

czternastego roku życia podgląda wesołą sąsiadkę zza płotu – dziewczynkę o rozkosznie rozkapryszonym spojrzeniu. Jedyne córka gospodarza – pana Mariusza Z. – wzbudza podziw. Dziesięć lat później Xyło zgwałci Judytę. Potem ucieka do Warszawy. Odtąd we wsi żywym już go nikt nie zobaczył. Prawdę mówiąc, nikomu nie było dane się dowiedzieć, że Xyło w ogóle ją zgwałcił. Zniknął. Judyta za Boga Świętego do niczego nie chciała się przyznać. Koszmar niezdarnie ukrywanej ciąży, kłótnie, bijatyki z ojcem i matką, w końcu rumiany wstyd na całą okolicę. Zwyczajna, ludzka norma obyczajowa. Jak prawie wszędzie na świecie. Ciężki poród zabija dziewczynę. Dwa dni po narodzinach syna ojciec Piotra wpada pod koła pędzącego samochodu w samym centrum stolicy. Kończy jak przybłąda i pijany żebrak, po którym nikt nie zapłakał.

Ktoś zapyta: Xyło, kto był twoim opiekunem? Odpowiedź brzmi: Szary Lemień (podaję za Terasimiukiem). Czarodziej, amator uzdrawiania wiejskich kalek, oszust, bystry polityk, przyjaciel sołtysów i złodziei. Doskonale udawał wariata i Niemcy rozstrzelali go za to 30 września 1939 roku. Xyło przekazał w genach Piotrowi lodowatobłękitne oczy i włosy proste, ciemne niczym tusz do rzesz prostytutki spod Paryża A.D. 1959. Kłosowski po ojcu miał też wzrost (165 cm). Chyba zbyt dużo podaję tu szczegółów. Niech wreszcie niedopowiedzenia wkroczą i rozgospzczą się na dobre w umysłach moich Czytelników.

Nie jestem kłamliwym narratorem, jak moi mało chwalebni poprzednicy. Zapewniam, że pozostała część tej historii nie tylko nie będzie dramatyczna, lecz także, co osobliwe, odnajdziecie w niej pełno łagodnych wznieścień i malowniczych widokówek.

„Sekundę po narodzinach Kłosowski wpada w opiekuńcze ramiona losu” – tak, ładnie, napisała w swoim albumie Natalia Ból. Krawędzikowski w *Wyciętych powiekach* nie uwierzył w szczęśliwy zbieg okoliczności. Tymczasem Wężykowski udaje ślepcę, który nieustannie nieufnie obmacuje dobrze sobie znaną od czterdziestu lat laskę z kości słoniowej. Uparcie twierdzi, że ktoś ciągle podmienia mu cenny oryginał i w zamian wciska do rąk bezwartościowy kij z podróbką. Wyjaśniam szybko, o co mi chodzi. Autor *Panoramy* bez przerwy wierzy w talent artystyczny Piotra, a wszelkich krytyków swojego bohatera z góry odsądza od czci i wiary. A ja tam swoje wiem. Nie ma czegoś takiego jak wrodzone zdolności. Istnieją wyłącznie: praca, pokora, upór, wyrzeczenia i następstwo wypadków, które wcale nie będą li tylko przypadkowo powyciąganymi tasiemkami z czapki sierotki.

Piotr, dziecko szczęścia tego tak banalnie despotycznego XX wieku. To, co naprawdę mu w życiu się przytrafiło, może przypominać czyjeś jawne, bezczelne fałszerstwo. Przeczytajcie biografie poświęcone rówieśnikom Piotra, kolegom po fachu, reżyserom, artystom, ludziom, których los wcale nie zamierzał oszczędzać.

A jakże, ja również przepytywałem co niektórych. Odpowiedzi tych niby-przyjaciół Kłosowskiego brzmiały niemal zawsze błędnie.

Jego zaprzysięgli bywali – co można odczytać bezpośrednio z ich deklaracji – bliscy odnalezienia pisarskiego klucza. Nazwałbym podobny zamiar próbą szukania punktu oparcia lub uchwytu, który mógłby mi pomóc w utrzymaniu właściwego kursu. Czym dałoby się celnie scharakteryzować, zsyntetyzować osobowość Kłosowskiego, jego gust, styl twórczości?

Tworzywo, w którym pracował: obraz, dźwięk, aktorzy, quasi-mody, przełomy historyczne – wobec tych wszystkich faktów musiał się jakoś określić, a to w sposób naturalny tworzyło żyzne podglebie dla otwartych konfliktów personalnych, ideowych, politycznych i artystycznych. Niby nie moja beczka, nie mój miód, ale jest w tym coś fascynującego. Negocjacje dotyczące szczegółów dialogów w scenariuszu. Szantażowanie młodej aktorki utratą bezcennej szansy na zrobienie kariery, jeżeli nie rozbierze się tu i teraz, najlepiej nanychmiast, do naga. Wiele razy pytałem ludzi, którzy go znali, o jego zdolność przekonywania innych do własnych racji. Moc perswazji. Musiał narzucać obcym własne wizje. Może były dziwne, choć ostatecznie – intelektualnie odświeżające.

Kiedy już wstąpił na ścieżkę sztuki popularnej, zrozumiał niewygodne fakty. Na przykład: krytycy będą

się często mylić, gdy tylko zaczną więcej pisywać na jego temat. Mógł oczywiście wszystkich zignorować. Obrazić się na cały świat. Moim zdaniem powinien był jednak wziąć pod uwagę opinie dziennikarzy, widzów, aktorów, kolegów po fachu. Postąpił inaczej. Przyjął za pewnik ryzykowną hipotezę, że cokolwiek o nim powiedzą lub napiszą, będzie to zupełną pomyłką. Uczynił to wbrew oczekiwaniom maluczkich. Dlatego też na chybił trafił zaprzeczał oczywistym faktom, a innym zdarzeniom (niejasnym) przyznawał rację bytu. Przyłapywany na niekonsekwencjach, tłumaczył kłamstwa głoszone tu i ówdzie chęcią zabawy albo, co gorsza, pragnieniem urozmaicenia sobie nudnej egzystencji filmowca. Częste u artystów „podbarwianie” (jego sformułowanie) biografii uzasadniał eksperymentem filozoficznym. Podobnie jak szlifuje się kamień szlachetny, tak też i on poddawał jubilerskiej obróbce własny los. Wykreował się na scenarzystę i reżysera własnego życia. Mistyfikując oficjalnie już wystarczająco „świetnie” zamazaną granicę pomiędzy tym, co realne, a tym, co wymyślone, przyjął ostatecznie kłamstwo na swój temat jako normalną kolej rzeczy. Po czymś takim szybko uznano go za człowieka niehonorowego, niegodnego szerszej uwagi szaleńca. Niegroźny, wulgarny, czasem śmieszny, częściej nieprzyzwoicie arogancki, zakłamanym, pyszałkowaty cynik, hipokryta – z podobną listą inwektyw zazwyczaj moglibyśmy się spotkać, czytając

o nim w bulwarowej prasie. Jego polemiki z krytykami na temat własnych filmów przypominały walkę z cieniem. Dziennikarz, chwając go, bezmyślnie zapraszał prostytutkę na salony. Inny recenzent, miażdżąc dzieła Kłosowskiego, strzelał z armaty do wróbla, automatycznie zgłaszał akces do chóru ludzi, którzy już od dawna gardzili reżyserem.

Jego kameleonowe poglądy wyprowadziłyby z równowagi nawet najcierpliwszego kibica polskiej sceny politycznej. Identycznie było za granicą. Kłosowski odpowiadał zawsze „na tak” i „na nie”. Przypominał starożytnego smoka. Najczęściej prezentował wiele możliwych wersji odpowiedzi na pytania o sens, przyszłość, prawdę, rację, piękno, miłość. Sięgnijmy po przykład prymitywny: czy socjalizm rozwinął szkołę filmową? Tak, ponieważ otworzył dla niej nowe obszary zainteresowań (robotnicy, chłopci, budowy, reformy). Nie, bo chciał zastąpić osobowość artysty tanią agitacją wyrzaskiwaną podczas kolejnego plenum Komitetu Centralnego. Dialogiczność, niezręczność i to dziwaczne rozszczepienie jego wypowiedzi wzbudzały po prostu niesmak. Dziennikarze odpytywali go prawie na każdy temat. Puste słowa Kłosowskiego wprost krzyczały drukarską czcionką ze stron jakiejś gazety, która nocą, porzucona przez kogoś na nowojorskiej ulicy, nagle bezwładnie otwierała się i trzepocąc swoimi papierowymi piórami, niesiona atlantycką bryzą, odfruwiała

sobie gdzieś bardzo, bardzo daleko, najczęściej donikąd i bez sensu.

Jego ekshibicjonizm (tak otwarcie przez niego deklarowany) przybierał monstrualne rozmiary. Niektórym z obserwatorów wydawało się, że może Kłosowski na serio coś ukrywa. Drobiazgowo śledztwa przeprowadzone przez reporterów, nicowanie życiorysu Piotra, studiowanie szczegółów z intymnego notatnika (artysta przezornie podrzucił im tę pikantną przynętę) nie do końca odkrywały istotę sprawy. Błyskawicznie zrozumiano (dla mnie nieco za szybko), że reżyser jest tylko nieszkodliwym dziwakiem, beztalenciem poszukującym taniej reklamy. I zaczął się w jego życiu okres bojkotu. Oto w pewnej chwili różne grupki dziennikarskiej braci milcząco umówiły się ze sobą, że Kłosowskiego w ogóle nie ma. Były oczywiście wyjątki – niektóre nazwiska już padły, następne poczekają w kolejce.

Gdy reżyser zmarł w 2003 roku, niektórych ogarnął wstyd. Kłosowski – to przecież nie było nazwisko z najniższej półki. Ba, on nawet już doczekał się w pewnych kręgach tytułu „kultowego”. No i jednak zawsze mogliśmy znaleźć kogoś, kto cichcem, w pracy naukowej poświęconej historii kina wspomniał o jego metodzie pracy, inwencji itp. Po pogrzebie musiał minąć równy rok, żeby wreszcie pojawiły się obiektywne artykuły, szkice, monografie o Kłosowskim. I znowu po krótkiej, sztucznej fali pośmiertnego zainteresowania artystą

nastała znamienna cisza. Będzie więc Kłosowski zapomniany? Chyba tak. A jednak postanowiłem napisać kolejną jego biografię. Czy zmarnowałem czas? Nie do mnie należy ocena.

Niech zostanie po nas ślad. W bibliotekach i indeksach z uniwersyteckich czytelni.